

**Wiesław Hładkiewicz**  
ORCID: 0000-0003-3549-4488  
Uniwersytet Zielonogórski

## **ZE WSPOMIENIŃ MOJEGO DZIADKA („BYĆ DOBRYM CZŁOWIEKIEM, RESZTA SIĘ NIE LICZY...”)**

Mój dziadek – Piotr Hładkiewicz – nie zamierzał napisać autobiografii<sup>1</sup>. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie, kiedy czytelnik sam dowie się o miejscach i ludziach z epoki, w której żył. Czerpał wiadomości z opowiadań swojego dziadka Teodora.

Dziadek Piotr urodził się w 1898 r. na Podolu – we wsi Nowosiółka Koropiecka. Jako młody chłopiec pasał krowy ze swoim dziadkiem Teodorem:

Lubiłem paść krowę z dziadkiem, ale po południu. Bo gorzej było rano, przed wschodem słońca – matka budziła, nie mogłem oderwać głowy od poduszki. Rano było dobrze się pasie. A jak słońce przygrzeje to muchy i owady tak kąsają, że bydło zadziera ogony i „gzi się”, biega po polu lub ucieka do domu. Dziadek był człowiekiem bardzo sumiennym i tak pilnował bydła, by nie zrobić szkody w polu graniczącym z pastwiskiem. Zostawiał około jednego metra pastwiska niewypasionego, by bydło nim dojdzie do pola, zatrzymywało się na skrawku dobrej, bo niewypasionej paszy.

Cieszyłem się pięknem świata. Jeszcze dzisiaj za nim tęsknię. Rano bywało trochę chłodniej, przeważnie w nogi, bo na bosaka. Brałem ze sobą worek i owijałem nogi. Czasem chowałem się przed dziadkiem i dosypiałem. Dziadek wówczas mnie szukał, wołał i groził, że powie mojemu ojcu, ale nigdy nie skarżył się na mnie. Najpiękniejszy świat – to raniutko, kiedy słońce wschodzi, a niebo bezchmurne, kiedy wiaterek listkiem nie ruszy, śpiew skowronka, zdaje się, że wzbil się pod chmury, bo widać było kropkę na firmamencie, a po odśpiewaniu swojej długiej melodii opada jak strzała na ziemię z pewnym ukosem. Kiedy krowka pasie trawę pokosem raz w prawo, raz w lewo, a ptaszek zwany pastuszkciem, pięknie upierzony w pióra białopopielate, długim ogonkiem i czarną czapczką na głowie, cały czas skacze przed pyśkiem krowy i wyłapuje muszki. Bardzo piękny widok, kiedy słońce wschodzi, to rosa wygląda jakby perły rozsypane po trawie; mienią się one różnymi kolorami, a kiedy słońce przygrzeje, zamieniają się w przyziemną mgiełkę. Czy dzisiejsze dziecko widziało prawa piękna natury? Tak mi powiedział mój syn Paweł: „tato, spytaj Wiesia, swego wnuka”. On ukończył wyższe studia. Czy on widział rosę? Odpowiedź prosta – nie.

Wróćmy teraz do tego, co opowiadał mi dziadek.

O pochodzeniu przodków moich domysły snuć mogę jedynie na podstawie spostrzeżeń osób interesujących się fizjonomią ludzi różnych narodowości – prapradziad-

---

1 P. Hładkiewicz, *Wspomnienia*, Jasień 1974 (pamiętnik w zbiorach własnych).

kowe pochodzą z Armenii (zachodniej części Azji). Początek rodowodu na podstawie opowiadań nie sięga dalej jak od Andrzeja, pradziadka mego dziadka Piotra, urodzonego w 1790 r., którego rodzice w okolicznościach wyżej wspomnianych znaleźli się na Podolu. Osiedlili się oni w pięknej okolicy, we wsi Koropiec, w powiecie Tłumacz (od połowy XIX w. powiecie Buczacz). Tam dziedzic Mysłowski miał swój pałac, zbudowany w stylu barokowym XVII w. Mysłowski był bardzo bogaty, miał tak zwany klucz majątków – kilkanaście wiosek i folwarków. Sam folwark bez wioski i tym samym bez ludzkiej siły roboczej był bezwartościowy. Dlatego, kiedy ktoś sprzedał czy przegrał w karty folwark, mówiono: „przegrał wieś”.

Dziedzic był wójtem i sędzią, słowem – panem życia i śmierci. Ale czasy były niespokojne i niebezpieczne. Trzeba było zabezpieczyć siedzibę dziedzica. Koropiec był położony w kotlinie nad rzeczką zwaną Koropiec, która wypływała we wsi Koropczyk w powiecie złoczowskim i wpadała do Dniestru we wsi, skąd pochodziła jej nazwa Koropiec.

Od strony południowej zabezpieczenie było zbyteczne, bo płynęła tam duża rzeka Dniestr. Od wschodu znajdował się zamek obronny, którego mury sterczą do dziś. Natomiast od strony północnej, w promieniu 5 km od pałacu, w rowach lasu liściastego, przy obfitym źródle zwanym Kiernica, obok dużej, bo ponad 200-morgowej polany dziedzic skoszarował uzbrojoną służbę dworską (hajduków). Miejsce to do dzisiaj nosi nazwę „Koszarki”. Można tam znaleźć pozostałości starej broni. Kiedy czasy się unormowały i życie dziedzica stało się bezpieczne, postanowił on zrezygnować z placówki skoszarowanej ochrony, a na wspomnianej polanie założyć wioskę i zasiedlić ją szlachtą zagrodową, pochodzącą z Litwy, a zasłużoną w powstaniach. Każdy ze szlachciców miał herb, różnych nazw, których nie zdołam wyliczyć. Pamiętam tylko, że dokument herbowy spisano na pergaminie większego formatu i przechowywany był w blaszanej rurce. Wiosce nadano nazwę Nowosiółka Koropiecka.

Wioska została założona w drugiej połowie XVIII w., w roku 1780. Osiedliło się w niej kilka rodzin szlacheckich, jak Piotrowski herbu Junosza, Biernacki herbu Sas, a dalej Tyszkowski, Zdanowicz, Zalewski, Koryzna, Wizowski, Zwojewski, Borkowski, Wolański, Tokarski, Baraniecki, Rogalski, Chaszczewski, Krokoszyński, Działoszyński, Bekierski, Boski, Felsztyński, Hałuszczynski, Obuchowski, Jasiński i Węgierski. Byli to ludzie uprzywilejowani, wolni od pańszczyzny, płacili tylko czynsz roczny. Każdy z nich otrzymał pole, tyle, ile sobie życzył. Otrzymali po 15 morgów, a niektórzy nawet po 20 morgów. Nie dbali o budowę lepszych mieszkań czy naprawę drogi. Mieszkali w lepiankach, krytych słomą, o maleńkich oknach. Byli i tacy, którzy nie wyzbyli się manier wielkopańskich; mimo że należeli do zubożałej szlachty, potrafili po trzy dni siedzieć w karczmie, opowiadać o swoich, mościzdziej, przodkach i popisach na polu bitwy. Byli i tacy, jak Walenty Piekarski, który dokąd szedł, trzymał czapkę w ręce i mo-

dlił się, dziękując Bogu za ocalenie. Opowiadał, że w czasie powstania został złapany i skazany na gorący „tok”. Była to blacha o dużych rozmiarach, pod którą palono ogień i tam puszczano powstańca, gdzie skakał i miotał się, aż się spalił. W czasie, kiedy miał iść na ten „tok”, została ogłoszona amnestia.

Mieszkańcy Podola przeżywali wówczas strach przed chorobą zwaną suchotami, a dziś określaną mianem gruźlicy. Umierali na nią przeważnie ludzie w kwiecie życia, do lat 30. Gorszą chorobą była cholera – ta niemiłosiernie kosiła małych, młodych i starych. Wymierały całe wioski, mało kto utrzymywał się przy życiu. Objawy cholery to silne kurcze i paraliż. Do dzisiaj jeszcze są miejsca na cmentarzyku, gdzie chowano zmarłych na tę chorobę.

Dziadek opowiadał mi także, że był rok „głodny”, kiedy to człowiek jadł i zawsze był głodny, choć chleba nie brakowało. Budowano piece piekarnicze i wypiekano chleb, by zaspokoić głodnych; jeśli piekarnie w danej wiosce nie nadążały upiec dostatecznie dużo chleba, trzeba było iść do drugiej wsi. Powiadał dziadek, że jego młodszy brat Joachim poszedł kupić chleb do sąsiedniej wioski Puźniki, odległej o 3 km. Kupił trzy bochenki, lecz nim doszedł do domu, uszczypywał je po kawałeczku i wrócił bez chleba.

Jak już wspominałem, szlachta osiedlona w nowo założonej wiosce Nowosiółce Koropieckiej była wolna od pańszczyzny, ale płaciła jakiś czynsz roczny. Jeżeli ktoś zalegał z czynszem dwa czy trzy lata, to dziedzic wysiedlał go – po prostu wyrzucał na ulicę, a na jego miejsce osiedlał chłopą z Koropca, dawał mu 3 morgi ziemi i ten odrabiał pańszczyznę. Tym sposobem znalazło się w Nowosiółce kilka rodzin chłopów pańszczyźnianych, takich jak Popereczny, Hładki, Skrypnik, Wosyłyk, Majdański i Sobków. Przykro i ciężko było żyć takiemu chłopu między buńczuczną szlachtą. Naśmiewano się z ich nazwisk i imion, ze stroju ludowego, z ich gwary, śpiewu i tańców. Słowem byli oni pogardzani, tym bardziej że chłop miał zaledwie 3 morgi pola, a więc był biedakiem w porównaniu ze szlachcicem. Trzeba było pójść na zarobek do niego latem na pole, a zimą młócić cepem. A wielodzietne rodziny chłopskie zmuszone były dawać swoich synów na „najmitów”, którzy przez rok służyli w zamian za wikt i ubranie. Do takich przesiedleńców należał mój pradziadek.

Pole w czasie pańszczyźnianym stało przeważnie odłogiem i rosła na nim bujna trawa. Pradziadek Andrzej, bo tak miał na imię, urodzony w 1790 r., kosił wraz z kosiarzami na łanie zwanym „Wserbka”, odległym 4 km od domu. Nie było tam wody, dowożono ją beczkowitzem. Beczka zostawała na polu, w trawie – przez otwór wśliznęła się do niej żmija, zatruwając wodę jadem. Pradziadek napił się tej wody i zmarł. Był tak spuchnięty, że aż skóra popękała. Mój dziadek Teodor, urodzony w 1832 r., miał wtenczas 12 lat. Po śmierci ojca wziął kosę i poszedł odrabiać pańszczyznę. Zauważył to karbowy. Kiedy dowiedział się, że mały kosiarz to syn tragicznie zmarłego, kazał dziadkowi iść do domu i więcej nie przychodzić do pracy. Tak się skończyła pańszczyzna.

Dziadek był średniego wzrostu, silny i krępej budowy. Potrafił 120 kilogramów mąki przynieść na plecach z młyna w Koropcu 7 km do Nowosiółki, i to w porze nocnej, w tym 3 km lasem pod górę. Mówił, że nogi grzęzły w ziemi. Był spokojny, cicho gniewny, w tym czasie po dwa, a nawet trzy dni odmawiał sobie jedzenia. Nigdy się nie spieszył. Wołami jechał do miasta 18 km. Przed karczmą po drodze dawał wołom popas, a sam wypijał kwaterkę okowity. Lubił chleb razowy z surową słoniną i czosnkiem. Był wielkim miłośnikiem fajki, wypalał paczkę tytoniu dziennie. Przez 12 lat był wdowcem. Wyrabiał płótno na warsztacie tkackim. Zmarł w 1914 r. Żył 82 lata.

Ojciec Maksym ur. 1870 roku był niższy wzrostem od dziadka, ale był sprytniejszy. Mówiono o nim, że ma żydowską głowę. Również wyrabiał płótno na warsztacie tkackim. Jeździł już końmi i tak wracał do domu wieczorem, jak dziadek wołami. Konie w tych czasach nie były popłatne. Dziadek mówił, że wół więcej zalega, jak koń zarobi. Bo woły, jak upasł i sprzedał, to wziął kupę pieniędzy. Ojciec zmarł w 1942 r. Żył 72 lata.

## Podole<sup>2</sup>

Był to region o niedużym zasięgu terytorialnym. Obejmował trzy województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Nazywano go Czerwoną Rusią. Terytorialnie należał w historii do Galicji, Małopolski i Ukrainy. Był obiektem napadów Turków i Tatarów. Trudno więc się dziwić, że ludzie, niepewni swego jutra, budowali chałupy kryte słomą, by mieć dach nad głową. Na drogach wiosną i jesienią błoto sięgało do kolan, bowiem czarnoziem był podatny na rozmoknięcie. Mówiono: kropla deszczu – „beczka złota”.

Jedynym i głównym utrzymaniem ludzi była urodzajna, żyzna ziemia. W zachodniej części regionu teren był lekko pofałdowany i prawie w 40% zalesiony starym drzewostanem liściastym, natomiast wschodnia część – od powiatu buczackiego aż po Husiatyn – to równina i tylko gdzieniegdzie widać było drzewa owocowe lub kępę lasu. Za to ziemia była tak urodzajna, że żyto sięgało 2 metrów wysokości. Obornik wywożono do rowów, a słomę palono. Same nazwy wiosek mówią o sobie, jak na przykład Dobropole, Żytomierz itp. Śpiewano także piosenki: „Mówią, że tam na Podolu rośnie żyto bez kąkolu”.

W południowej części Podola przepływała rzeka Dniestr z jej dopływami od strony południowej: Stryj, Swica, Łomnica i Bystrzyca, a od północy Wereszyca, Gniła Lipa, Żłota Lipa, Strypa, Seret i Zbrucz. Dniestr to rzeka szeroka, miejscami płytka i z dziko wyrobionym korytem o dużych zakrętach; nie nadawała się do żeglugi i transportu. Trudno było dostać się na drugi brzeg, możliwe to było prawie wyłącznie za pomocą promów, bo istniały tylko dwa mosty: kolejowy i kołowy w Niżniowie.

<sup>2</sup> Zob. W. Hładkiewicz, *Podole w polskiej pamięci*, [w:] *Świat Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w literaturze i sztuce*, red. M. Jazownik, L. Jazownik, Zielona Góra 2014, s. 277-283.

Nie było prawie żadnego przemysłu, z wyjątkiem kopalni ropy w Bitkowie i soli w Kałuszu. Natomiast gorzelnie były niemal w każdym folwarku, co przynosiło ich właścicielom spory dochód. Ówczesne prawo zezwalało na budowę karczmi przy drogach co 5 km. Właściciele korzystali z tego przywileju i nie było ani jednej wioski, gdzie by nie znajdowała się jedna, a nawet dwie karczmy. Karczma była miejscem spotkań. Tam wieczorami schodzili się gospodarze, radzili, sprzedawali, kupowali, załatwiali sprawy sporne, a arendarz był zawsze dobrym i mądrym pośrednikiem. Kres tradycyjnym nawykom i wiekowym karczmom położyła I wojna światowa. Jak miotłą pozamiała, zniknęły karczmy. Przysłowie mówi, że dobrego karczma nie zepsuje. Jednak nie warto się ludzi i lepiej, że ich nie ma.

Mieszkańcy Podola byli pracowici i oszczędni. Mimo zniszczeń wojennych nie załamywali rąk. Pracowali od świtu do nocy na swoim skrawku ziemi, a jak im brakowało, szli na łan dworski i tam za dziesiąty czy dwunasty snop sierpem lub kosą zarabiali sobie zboża. Całe lato chodzili boso; strój ludowy nie wymagał wydatków. Koszula z płótna własnej roboty, sirak z owczej wełny, również swojej roboty, kozuch na zimę z baranich skór; ubranie nosił dziadek, później ojciec i przechodziło na wnuka. Kozuch służył jako część pościeli, do nakrywania się. Jakkolwiek stroje ludowe były podobne do siebie, jednak istniała różnica polegająca na tym, że każda wioska miała nieco innego kroju i wyszywany innym kolorem nici sirak, lejbyk, tj. kamizelkę, kozuch i bieliznę, a nawet buty innego fasonu. Nie trzeba było pytać przechodnia, z której wioski pochodzi. Każda wioska miała swój przemysł domowy (chałupniczy). W jednej szewcy, w drugiej kuśnierze, dalej stolarze, cieśle, murarze, tkacze, garncarze itp. Ludzi Podola można porównać z pracowitymi mrówkami. Kiedy niesumienny człowiek zniszczy mrowisko, nie zrażają się tym, ale zaczynają ponad swoje siły ściągać materiał i odbudowywać swoje domostwo. Taki człowiek, który przeszedł kataklizmy wojen, zniszczeń, doznał głodu i tułaczek, staje się czuły dla drugiego człowieka dotkniętego podobnym losem.

Ludzie Podola byli gościnni. Kiedy podróżny przestąpił próg jego chałupy, to pierwsze słowa, jakie usłyszał, brzmiały: „Czy jesteście głodni?”. Podzielili się ostatnim kawałkiem chleba („czym chata bogata”). Nie odmówili odpoczynku i noclegu, choć chałupa była przeważnie jednoizbowa, a w niej mieszkała większa rodzina. Ścielono słomę na ziemi i coś pod głowę, by przybysz mógł się przespać. Było również zwyczajem pamiętać o biednych i kalekach, których można było każdego święta i niedzieli widzieć pod murem cerkwi czy kościoła. Gospodynie piekły w sobotę bułeczki, by podzielić je między biedaków. Niedziele i święta obchodzono bardzo uroczyście. Już w sobotę czy w dzień przedświąteczny robiono porządki, bielono chałupy, zamiatano podwórza i ulice, rąbano drewno na opał, cięto siczkę dla bydła, a zapach pieczywa wychodził aż na ulice. Dziadek Piotr wspominał:

W niedzielę, każdy ubrany w czystą bieliznę, po nabożeństwie wychodził na wieś, gdzie na skrawkach była „schadzka” i tam przy harmonii młodzież śpiewała i tańczyła, a starsi przyglądali się pięknej ludowej zabawie. Podobnie bawiła się służba dworska. Pewnego razu, przechodząc koło folwarku zwanego „wyczółki”, stanąłem na drodze i przyglądałem się, jak pięknie tańczyli z przyśpiewkami młodzi i starsi. Zdawało mi się, że nie ma szczęśliwego życia, zazdrościłem wesołości tych ludzi. Losy ludzkie są niezbadane. A mi się śniło, i nigdy nie pomyślałem, że ja w niedługim czasie znajdę się w gronie tych szczęśliwych ludzi dworskiej służby.

W październiku 1918 r. zakończyła się I wojna światowa. Przedstawiciele różnych państw na podstawie 14 punktów, opracowanych przez Prezydenta Wilsona, ustalili granice poszczególnych krajów między innymi Państwa Polskiego. Kraj mój po prawie półtorawiekowym rozbiornie otrzymał swoją niezależność, ale ustalenie granic nie było łatwe. Niemcy nie chcieli odstąpić Śląska i Prus Wschodnich, a Ukraińcy wschodniej części Małopolski. Mimo zniszczeń wojennych ludność Podola nie zaznała spokoju. Dopiero w roku 1921 ustabilizował się Rząd Polski.

W październiku 1918 r. zostałem wybrany sekretarzem gminy jednostkowej naszej wioski Nowosiółki Koropieckiej. Skromne pobory nie wystarczały na zaspokojenie potrzeb, jak naprawa zniszczonej chałupy i pobudowanie szopy, bodaj lepianki na krowę. Jeszcze gorzej odczuwano brak chleba. W tej sytuacji musiałem poszukać jeszcze dodatkowej pracy. Na szczęście przyszedł do kancelarii gminnej kasjer, brakarz i wiernik Mojżesz Herzos, z firmy Szeina, bogatego kupca lasów u prywatnych właścicieli i zaproponował mi posadę w lesie pod nazwą „Werbka”, 6 km od domu. Chętnie zgodziłem się za wynagrodzenie 150 koron miesięcznie. Pracowałem tam do kwietnia 1921 r. W czasie pracy zapoznałem młodego brakarza nazwiskiem Katz z firmy pod nazwą Zjednoczona Spółka Leśna w Częstochowie. Pracował w zakupionych lasach przez firmę u Dziedzica w Korościatynie. W kwietniu 1921 r. został przeniesiony, a mnie zaproponował swoje stanowisko. Właścicielami firmy było czterech wspólników<sup>3</sup>.

## Nowe Eldorado?

W listopadzie 1945 r. mój dziadek przyprowadził do Żar transport repatriantów z Nowosiółki Koropieckiej i Buczacza<sup>4</sup>. Byli ciężko doświadczeni przez los, a podróż z Kresów trwała kilka tygodni. Droga na zachód rozpoczynała się w punktach zbiorczych, gdzie wysiedleńcy musieli czekać tygodniami. „Czuwali” nad nimi żołnierze i sowieccy biurokraci.

Przesiedleńcy nie tylko utracili swoją małą ojczyznę na Kresach, ale zarazem znaleźli się w obcym kraju i nieprzyjemnym otoczeniu. Urok nowego krajobrazu im nie wystarczył. Uważali, że ich pobyt na Środkowym Nadodrzu jest tymczasowy. Żyli na walizkach, pośród stert nieuprzętaných śmieci. W zajętych poniemieckich domach i gospodarstwach nie mieli ogrzewania. W wilgotnych i zimnych pomieszczeniach cierpieli na reumatyzm.

3 P. Hładkiewicz, *op. cit.*

4 W. Hładkiewicz, *Wrota. Szkice z dziejów Środkowego Nadodrza*, Zielona Góra 2016, s. 319-320.

Mój dziadek zamieszkał wraz z rodziną początkowo w Bronicach, a później w Jasieniu<sup>5</sup>. Pracował w urzędzie miasta, a później był leśniczym (tak jak w latach międzywojennych). Zmarł w 1982 r. Pochowany został wraz z żoną na miejscowym cmentarzu komunalnym.

\* \* \*

Od niedawna byli mieszkańcy Buczacza<sup>6</sup> i Nowosiółki Koropieckiej organizują w Jasieniu i Żarach spotkania Kresowian. W Jasieniu zainicjowali je mieszkający w Gorzowie Wielkopolskim Konrad Zaleski, Adam Baraniecki i Jan Biernacki. Młodzi ludzie – synowie Kresowian postanowili utworzyć lokalne stowarzyszenie oraz wydać monografię wsi Nowosiółka Koropiecka. Opiekują się również grobami potomków zamieszkałych w Buczaczu, Koropcu i Nowosiółce Koropieckiej.

## Bibliografia

- Hładkiewicz P., *Wspomnienia*, Jasień 1974 (pamiętnik w zbiorach własnych).  
Hładkiewicz W., *Podole w polskiej pamięci*, [w:] *Świat Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w literaturze i sztuce*, red. M. Jazownik, L. Jazownik, Zielona Góra 2014, s. 277-283.  
Hładkiewicz W., *Wrota. Szkice z dziejów Środkowego Nadodrza*, Zielona Góra 2016.  
Hładkiewicz W., Kasprzak Z., *Jasień. Tożsamość miasta* (książka w druku).  
Nicieja S.S., *Buczacz Potockich*, „Gazeta Pomorska”, 5 lutego 2011 r., s. 13.

## FROM MY GRANDFATHER'S MEMORIES

The article concerns the everyday life of the inhabitants of the village of Nowosiółka Koropiecka. Many of them were impoverished nobility, free from serfdom. Their main occupation for livelihood was the cultivation of fertile land and cattle breeding. They dressed modestly and celebrated family holidays very solemnly. Everyday life was diversified with feasting and singing, they were very religious and attended church regularly. Their lives, work, troubles and joys are depicted in the above memoir.

**Keywords:** Eastern borderlands (Kresy), Podole, Koropiec, Nowosiółka Koropiecka

5 Zob. szerzej: W. Hładkiewicz, Z. Kasprzak, *Jasień. Tożsamość miasta* (książka w druku).

6 Zob. S.S. Nicieja, *Buczacz Potockich*, „Gazeta Pomorska”, 5 lutego 2011 r., s. 13.